

AGNIESZKA MARTINKA  
SZYBSZA  
NIŻ LEW



AGNIESZKA MARTINKA

# SZYBSZA NIŻ LEW



SAGA  
EGMONT

Agnieszka Martinka

# Szybsza niż lew

Saga

*Szybsza niż lew*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2004, 2020 Agnieszka Martinka i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 9788726772531

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

*Moim Rodzicom, Siostram i Strykowi  
w 25. rocznicę  
naszej cygańskiej włóczęgi  
po Europie i Azji*

*Pamięci Sao Gamby,  
zamordowanego w Dolinie Hipopotamów  
w trzy miesiące  
po moim powrocie do Polski*

31 grudnia 2003

Afryka przywitała mnie deszczem. Już od świtu chodziłam po pokładzie samolotu od okna do okna, bo koniecznie chciałam sfotografować widok na Jezioro Wiktorii oraz wierzchołek Mount Kenya <sup>1</sup>. Była to jedyna szansa spojrzenia na zaplanowaną trasę z perspektywy Pana Boga – ale nie udało się. Nad Afryką Wschodnią wisiały szare, gęste chmury.

Samolot w Nairobi wylądował planowo, o dziewiętej dwadzieścia miejscowego czasu. Szybko przeszłam przez odprawę paszportową, otrzymałam po raz trzeci z rzędu kenijską wizę i nie czekałam nawet pięciu minut na bagaż. Torba z rowerem i ubraniami doleciała nietknięta.

Wśród oczekujących na znajomych i rodziny czarnych postaci od razu zobaczyłam mężczyznę z białą kartką w ręku, a na niej dużymi literami wypisane moje imię i nazwisko, pod spodem zaś, mniejszymi literami – Jones.

– A jednak czeka – pomyślałam sobie i podbiegłam, aby radośnie uścisnąć jego dłoń.

– Jambo <sup>2</sup>Jones!

– Jambo Agnes!

Z Jonesem wymieniłam miesiąc wcześniej kilka formalnych e-maili. W ten sposób rozpoczęła się nasza znajomość, której dalszy ciąg był nie do przewidzenia. Jego internetowy adres dostałam od kolegi, który z kolei poznał osobiście Jonesa pół roku wcześniej, podczas Jeep Safari. Do ostatniej chwili nie wiedziałam, czy czarny kolega będzie na mnie czekał, czy nie. Wyprawę rowerową zaplanowałam rok wcześniej i miałam tu przylecieć z

dwiema koleżankami, jednak obie nie potrafiły uczestniczyć w przygotowaniach do wyjazdu, ani nie wykazały się hartem ducha czy też dobrą kondycją i jedna po drugiej zrezygnowały. Nie lubię podróżować sama, więc ucieszył mnie widok towarzysza wędrowni.

Z lotniska do Hippo Valley Inn pojechaliśmy taksówką. Cały czas padał drobny deszczyk. Pomimo że było ciepło, ani na moment nie zdjęłam kożuszka. Z Polski wyjechałam chora i cały czas było mi zimno. Przeraziłam się, kiedy zobaczyłam swoją twarz w samochodowym lusterku. Nieustający od dwóch dni katar, gorączka, dziesięć godzin przesiedzianych na londyńskim lotnisku i nieprzespana noc w samolocie odcisnęły swoje piętno, nadając mojej skórze kolor sinożółty – z odcieniem fioletowym pod oczami i czerwonym pod nosem. Parokrotnie prosiłam Jonesa, aby rozmawiając ze mną, nie oglądał się i nie patrzył na mnie, ponieważ z powodu przeziębienia nie wyglądam ładnie. Człowiek jest próżny. Dla niego byłam po prostu białą klientką, o tyle może inną, że Afrykę chciałam przemierzyć na rowerze, a nie jeepem!

W Kenii byłam po raz trzeci. Już od pierwszej wizyty czułam się tu bardzo dobrze, a tego dnia jak przysłowiowa ryba w wodzie. Z lotniska kazałam się zawieźć do biura wymiany walut, o którym wiedziałam, że nie zapłacę w nim prowizji za wymianę – punkt znajduje się koło hotelu Stanleya<sup>3</sup>. Stamtąd ruszyłam na południe w kierunku miasteczka Kitengela.

Z Kitengela pilotowałam już szofera krok po kroku do posiadłości Asi i Sao Gambów w Dolinie Hipopotamów. Ja tę drogę przemierzałam któryś raz z kolei, kierowca jechał nią po raz pierwszy. Byłam bardzo dumna z siebie i filuternie uśmiechałam się do swoich myśli. Przezornie cenę za kurs ustaliłam z góry i teraz mogłam spokojnie rozkoszować się dziką i piękną przyrodą, nie zważając na coraz bardziej

pochmurną twarz kierowcy. Osobowa toyota z trudem radziła sobie na afrykańskich bezdrożach. Koło amerykańskiej szkoły <sup>4</sup>wyskoczyłam z podskakującego samochodu i pognałam przez wzgórze w stronę domu Gambów. Nawet nie zauważyłam, że wcześniej przestał padać deszcz i zaczęło świecić słońce. Jones z kierowcą wlekli się powoli, omijając kamienie i koleiny. Spocona i z ciekącym nosem czekałam na nich na wzgórzu. Nie wsiadłam już do auta, ostatnie sto metrów ze śmiechem szłam przed maską samochodu i odrzucałam na bok duże kamienie.

- Hello! Czy jest tutaj ktoś? - krzyknęłam, siadając w wiklinowym fotelu.

U Gambów było tak samo pięknie, jak przed dwoma laty. Okrągły, zadaszony taras w środku zielonej dżungli, soczysta, bujna i splątana zieleń wkoło, a przy wejściu do ogrodu kaskady bugenwilli w przeróżnych kolorach - od écru, poprzez róż indyjski, biskupi fiolet, purpurę, aż do koloru czerwonego wina.

Po kilku minutach od strony kuchni przyczłapał mężczyzna. Stał przy naszym stoliku i, obracając językiem ustawioną w pionie między zębami zapałkę, wymamrotał w języku suahili <sup>5</sup>, że gospodarze przybędą później i że do picia jest tylko soda. Napisałam przed świętami Bożego Narodzenia e-mail do Asi, aby nie wyjeżdżała po mnie na lotnisko, bo sobie poradzę, ale teraz doskwierała mi jej nieobecność. Było mi zimno, miałam ochotę napić się gorącej herbaty, zjeść mango, chwilę odpocząć na słońcu i zacząć składać rower. Spodziewałam się też zobaczyć Felicję i Jakuba, a zamiast nich stał przy mnie służący „niemowa”, który nie umiał zrobić herbaty i na dodatek denerwował mnie beznamiętnym spojrzeniem i tą cholerną zapałką w ustach. „A swoją drogą, to i ja



któregoś dnia będę musiała spróbować owej sztuczki” – pomyślałam.

Taksówkarz chciał szybko wracać do Nairobi, więc powtórzyłam z Jonesem warunki „kontraktu” i umówiliśmy się jeszcze tego wieczora na telefon. Nigdy nie mogę zrozumieć, że można brać od klienta pieniądze za usługę z góry i dlatego chciałam zapłacić memu „pilotowi” po powrocie, ale Jones się nie zgodził i poprosił „choć połowę”. Nie miałam siły negocjować i zapłaciłam z góry za dwadzieścia jeden dni. To był mój błąd – i dobra zagrywka jednocześnie. Błąd polegał na tym, że po pierwsze pomyliłam się na swoją niekorzyść o jeden dzień, a po drugie denerwowałam się potem przez kolejnych kilka godzin, czy zobaczę jeszcze kiedykolwiek tego człowieka, czy nie. Wprawdzie wiedziałam, z jakim polskim biurem podróży od przypadku do przypadku współpracuje, ale ta wiedza nie była żadnym gwarantem ewentualnego odzyskania pieniędzy. Zapłata z góry miała jednak swój sens, bo gdy po dwóch dniach trekingu Jones oświadczył, że na następny dzień bierze sobie wolne, to najpierw zamarłam z wrażenia, a potem zdecydowanym tonem przypomniałam, że zapłaciłam mu za bycie moim pilotem przez całe trzy tygodnie, a nie trzy dni w tygodniu; że na urlop czekałam rok i nie przyjechałam tu po to, aby on sobie prał jeden podkoszulek przez cały dzień za moje pieniądze; że od miesiąca znał mój plan w szczegółach i powinien był przygotować się do wyjazdu solidnie; że całą trasę chcę przejechać na rowerze, a nie matatu<sup>6</sup> i że nawet dostał już niezasłużony napiwek, bo się pomyliłam i zapłaciłam za dzień, w którym będę już w Polsce.

Jak się potem okazało, zapłaciłam mu nie o jeden, ale o dwa dni za dużo.

Powoli rozpakowałam torbę i w plamie słońca, na zasypanym kolorowymi płatkami bugenwilli podwórku,

zaczęłam skręcać rower. Nie wiem, która była godzina, bo mój sportowy zegarek pokazywał od paru miesięcy czas grecki. Kiedy zapytałam o to służbę, zamiast odpowiedzi zobaczyłam tylko, jak chłopak podniósł głowę do góry, spojrzął na słońce i uśmiechnął się.

Skreśliłam rower i zabrałam się za pakowanie sakw. Mój Boże, dopiero teraz spostrzegłam, ile niepotrzebnych rzeczy zabrałam z Polski. Rzeczy, których nie używam na co dzień nawet w kraju. No cóż, widocznie miałam nadzieję właśnie w Afryce nauczyć się stosować krem pod oczy albo nosić pasek do spodni. Zaczęłam się śmiać z własnej głupoty - i w tym momencie usłyszałam głos Sao.

- Dzień dobry Agnieszka.

- Dzień dobry Sao - rzuciłam mu się w ramiona. - Sao, zobacz! Biorę ze sobą tylko rzeczy niezbędne - wskazałam palcem na spakowane sakwy. - Niepotrzebną resztę zostawię u was. Wyglądasz wspaniale. A gdzie jest Asia?

- Agnieszka, powiedziano mi w kuchni, że jesteś głodna - powiedział, uśmiechając się serdecznie i bagatelizując lawinę moich myśli.

- Sao, chcę dostać talerz owoców i dużo herbaty.

Chłopak postawił na kamiennym stole półmisek pokrojonych owoców i termos gorącej herbaty. Wyciągnęłam wiklinowe fotele z pokoju i, nakłuwając na widelec żółte kawałki mango, w zaciszu ogrodu rozmawiałam z Sao. Opowiadaliśmy sobie o garstce wspólnych znajomych, jego i mojej pracy, planie rowerowym. Ten skromny, ciepły człowiek i wspaniały artysta - rzeźbiarz, malarz i reżyser - przeszedł krok po kroku na mapie ściągniętej z internetu moją trasę i, w przeciwieństwie do licznych Polaków, nie nazwał mnie idiotką. Wręcz przeciwnie, złożył gratulacje, chwalił mój pomysł i zapał, podziwiał kondycję.

Rozmawialiśmy tak długo, aż nadeszła ciemność. Chłopak przyniósł lampy naftowe. Rower z sakwami wprowadziłam do pokoju, w świetle lampy pozbierałam z kamiennej podłogi ubrania, których nie zamierzałam zabierać ze sobą w trasę, wrzuciłam je do torby bagażowej i położyłam się na chwilę, aby odpocząć. Bardzo męczył mnie katar.

Mogło być około dwudziestej, gdy usłyszałam dźwięk otwieranej bramy. Domyśliłam się, że to Asia. Podkreciłam płomień lampy i wyszłam jej naprzeciw. Nie zmieniła się od czasu, kiedy spotkałam ją po raz pierwszy; nadal mówi szybciej i więcej ode mnie. I, jak zawsze, staje się czasem nieobecna. Ucieka w sobie tylko znany świat, nieustannie zatroskana o dzieci i chorego na serce męża.

Najpierw przy herbacie naopowiadałyśmy sobie najpilniejszych polsko-afrykańskich historyjek, ploteczek różnych, a potem poszłam z nią na wzgórze, aby wspólnie zadzwonić do Jonesa. Asia umówiła mnie z nim o dziesiątej trzydzieści rano pod hotelem Stanleya w centrum Nairobi. Przekazała, że kupił sobie rower. Kamień spadł mi z serca.

Była noc sylwestrowa. Znajdowałam się na południowym skraju Parku Narodowego Nairobi, pełnego dzikich i pięknych zwierząt. Dwa lata wcześniej, oprócz żyraf, zebr, antylop, pawianów, nieopodal stąd widziałam nosorożca. Teraz w towarzystwie Asi siedziałam na tarasie i w blasku lampy naftowej jadłam powoli gorącą kolację. Lecąc do Afryki, wyobrażałam sobie, że dom będzie pełen zagranicznych gości – a tu, oprócz gospodarzy, chłopaka do pomocy i mnie, nie było nikogo.

- Czy chcesz poczekać do północy? – zapytała Asia.

- Asiu, wybacz, ale chciałabym wziąć gorący prysznic i położyć się spać. Nie czuję się dobrze, a jutro planuję

dojechać aż do Naivasha Lake.

Leżałam w puchowym śpiworze pod zwiniętą w kłębek moskitierą i słuchałam nocnych odgłosów buszu. Kiedy wracałam z kolacji, spojrzałam w niebo. Usiane było gwiazdami tak jasnymi i dużymi, jakie można zobaczyć tylko bardzo wysoko w górach. Myślałam o moim rodzinnym domu i o tym, że ta noc sylwestrowa, oprócz braku skrzypiącego śniegu za oknem, niczym nie różniła się od wszystkich moich poprzednich sylwestrowych nocy. Nie wiem, czy zasnęłam przed, czy po północy.

## I stycznia 2004

Była szósta rano. Płonącą świeczkę postawiłam na stole i usiadłam w fotelu. Asia wielokrotnie mówiła, że nie można podać jedzenia zanim nie przyjdzie gość, bo mały wszystko zjedzą i potłuką talerze. Czułam się znacznie lepiej niż poprzedniego dnia, ale do odzyskania formy sprzed choroby czekało mnie jeszcze wiele dni.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - powiedziała Asia, wyłaniając się z ciemności.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Asiu!

- Ile chcesz tostów na śniadanie?

- Jeden, plus miche owoców.

- Agnieszka, ty musisz zacząć jeść coś oprócz owoców.

- Asiu, proszę o miche owoców i jednego tosta z dżemem - powtórzyłam.

Dostałam wymarzone mango, banany, papaję, jednego tosta, termos kawy z mlekiem i kubek zsiadłego mleka zamiast lakcidu. Przed wyjazdem moja koleżanka Ewa wyposażyła mnie w apteczkę i na Okęciu zdecydowałam się wygrzebać z niej antybiotyk, mając nadzieję, że przywróci mi zdrowie w ciągu paru minut. Niestety, jak pokazał czas, leczyły mnie powoli słońce i owoce, a nie chemia.

Kończyłam jeść śniadanie, kiedy na dworze zrobiło się szaro. Usłyszałam krople deszczu wśród ogrodowego gąszczu i z niedowierzaniem spojrzałam na Asię.

- Błogosławi cię - powiedziała krótko.

- Daj Boże - odpowiedziałam ze skwaszoną miną.

Afryka mnie zaskoczyła. Wczoraj deszcz, dzisiaj deszcz - a ja byłam pewna, że styczeń jest miesiącem suszy.

Wróciłam do pokoju, sprawdziłam, czy czegoś nie zostawiłam na łóżku, przekazałam Asi torbę z rzeczami, których nie zabierałam w trasę, schowałam w depozycie polskie banknoty, wygrzebałam z sakwy kurtkę przeciwdeszczową i wyruszyłam w drogę. Asia odprowadziła mnie na wzgórze.

Stałam i rozejrzałam się wkoło. Roztaczał się przede mną przepiękny widok na afrykańską sawannę z doliną pełną zielonych, parasolowatych akacji. Polski pilot mówił trafnie, że wyglądają „jak malowane akwarelę”.

Było wpół do ósmej. Pocałowałam Asię i zaczęłam zjeżdżać po skarpie w dół, do koryta rzeki. Dziwny był to zjazd. Rower odmawiał posłuszeństwa co kilkadziesiąt metrów. Hamował wbrew mojej woli. Mało nie wyleciałam przez kierownicę.

- Co się dzieje? - pytałam się siebie.

Mżyło. Opony oklejone były szarą mazią. Nie jechałam już, ale z trudem prowadziłam rower. Odwracałam się i widziałam na horyzoncie spokojną postać Asi. Wstydziałam się. Miałam znakomity rower, a nie mogłam przejechać na nim nawet pół kilometra.

- Ależ te sakwy ciężkie! - narzekałam. - Jambo! Happy New Year! <sup>7</sup>

- Jambo! Happy New Year! - odpowiedzieli mali Masajowie i dodali: - Nie przejedziesz tędy!

- Co?

- Afrykańskie mady!

Możesz uczyć się w szkole o glebach, ale dopóki nie utopisz się w szarej mazi, dopóki nie zobaczysz, jak w lawinowym tempie koła i buty obrastają szarą, lepką breją, dopóki nie poczujesz, że roweru nie możesz pchnąć ani do przodu, ani do tyłu, nie możesz go podnieść, a każdy minimalny ruch tylko pogarsza sytuację - dopóty nie będziesz wiedział, co znaczą afrykańskie mady po deszczu!

Patykiem wyrwanym z masajskiego płotu czyściliśmy koła i przenosiliśmy we troje rower metr po metrze pod górę. Tam gdzie miała być lepsza droga. Droga, której nie znałam do tej pory. Chłopcy na pożegnanie dostali ode mnie parę nowiuteńkich spodni safari. Dźwigałam na plecach całą torbę prezentów dla afrykańskich dzieci. Kiedy po dwudziestu dniach, w upalny dzień wróciłam do Hippo Valley Inn, Sao wiedział już o darowanych spodniach. Masajowie opowiedzieli mu noworoczną przygodę na drugi dzień po moim wyjeździe.

Nowa droga, zwana tutaj „dry way”<sup>8</sup>, była znacznie lepsza od poprzedniej, a mimo to nie mogłam jechać. Rower był wciąż oklejony grubą warstwą madów. Licznik przestał działać. Wyjęłam z sakwy patyk i znowu zaczęłam zeskrobywać z kół i zakamarków szarobrazowe błoto. W kałużach myłam rower, jechałam kilkaset metrów i znowu musiałam stawać. Spojrzałam na zegarek i postanowiłam zadzwonić do Jonesa. Dzielili nas tylko godzina od spotkania, a ja nawet nie dojechałam do głównej drogi. Afrykanie wprawdzie mają niezwykłą zdolność czekania, ale fakt ten nie zwalniał mnie od obowiązku uprzedzenia, że będę znacznie później. Poza tym korciło mnie, aby sprawdzić, czy Jones w ogóle odbierze telefon. W odpowiedzi na moje tłumaczenie usłyszałam tylko „Hakuna matata!”<sup>9</sup>

Schowałam telefon do torby, ale na rower nie wsiadłam. Tuż obok mnie pasła się żyrafia rodzina. Czas mijał, deszcz padał, a ja stałam zafascynowana tym obrazem. Nie mogłam oderwać oczu od potomstwa, które i tak było dwa razy wyższe ode mnie. Jeszcze nigdy w życiu nie stałam tak blisko tych niebotycznych zwierząt. Warto było tu przylecieć, choćby dla tego jednego spotkania.

Przez dwadzieścia osiem kilometrów z Kitengela do Nairobi lało jak z cebra. Nie mogłam jechać asfaltem, bo